



## Wacław Żelazek

## część II z VII

Sygnatura notacji: **N0076**  
Data urodzenia: **16.09.1919 r.**  
Data nagrania: **17.09.2007 r.**  
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Rafał Pękała, Anna T. Pietraszak**  
Czas nagrania: **cz. I: 58 min, cz. II: 59 min, cz. III: 60 min, cz.IV: 60 min,**  
Format nagrania: **video** **cz.IV: 60 min, cz.V: 59 min,**  
Język nagrania: **polski** **cz.VI: 60 min, cz.VII: 61 min**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Rafał Pękała:** Wujku, rozmawialiśmy o tym, że w 1944 roku, już po zwycięstwie pod Monte Cassino, wujek dołączył do Armii Andersa.

**Wacław Żelazek:** Ja dołączyłem już wcześniej. Przed Monte Cassino, tylko byłem w takim, krótkie przysposobienie wojskowe. Ale ja już byłem w korpusie, jak oni walczyli na Monte Cassino. Tylko nie byłem na samej walce. Tam nie byłem jeszcze. Od Monte Cassino później aż do Bolonii, cały front adriatycki to już razem z Andersem.

**Rafał Pękała:** Rozumiem, ale w takim razie mam tylko pytanie takie: w jaki sposób udało się wujkowi oraz jego, z tego, co pamiętam, 30 kolegom, przedostać do Armii Andersa? Przecież to już był czas, kiedy walki toczyły się nie tyle z Włochami, ile z Niemcami.

**Wacław Żelazek:** Nie, ale już był front Neapolina, Neapol - Cassino, tam już byli alianci. Więc nam się wystarczyło dojechać z Rzymu, poza Rzymem, bo były takie obozy poza Rzymem, na tych Błotach Pontyjskich. Tam dużo żeśmy ukrywali Polaków. I stamtąd było łatwo się dostać przez front. Bo to nie był front taki, że tak powiem, armatka przy armatce, tylko przy jednym mieście, obsadzone drugie miasto, a tak to były wolne drogi. To się przechodzili, przejeżdżali, na gapę się jeździło. Aby tylko dotrzeć do Andersa, a oni już byli między Neapolem a Taranto, w południowych Włoszech. I pierwsze moje przysposobienie wojskowe to było w Campobasso, które jest na linii Cassino - Neapol. I później stamtąd, jak mówię, cały front adriatycki, to był ciężki front. To nie tylko pod Monte Cassino, największy cmentarz polski jest właśnie pod Bolonią, Forli, większy niż na Monte Cassino. Tam były bardzo ciężkie walki między

Ankoną a Bolonią. Stamtąd, jak mówię, od razu nas wysłali na front, bo mieli zapotrzebowanie, bo Polacy ginęli najwięcej pod Monte Cassino, a ten korpus cały, który dotarł do Włoch, to nie było więcej jak 40 tysięcy ludzi. A jak już zginęło prawie 5 tysięcy pod Monte Cassino, a ranni, więc się kruszył. A jeszcze nie dochodzili, dopiero się zbierali byli jeńcy niemieccy, Polacy, którzy byli wcieleni na siłę do armii niemieckiej, tak przechodzili, jak tylko się im udało. Przechodzili na stronę polską. Tych trzeba było przesłuchiwać, oglądać, bo niektórzy to byli tacy, którym się ziemia pod nogami załamywała. To Niemcy, którzy przechodzili na stronę polską, udawali Polaków. Trzeba ich było przesłuchiwać i ja się najwięcej w tym się zajmowałem też. Sam front, jak mówię, adriatycki, ale najciężej było zdobycie Ankony i później od Ankony do Bolonii, i zdobycie Bolonii.

**Rafał Pękała:** Skąd czerpał wujek informacje o tym, że front zbliżał się? Myśmy mieli nasz wywiad, gazety się zbierało, się słuchało radio podziemnego ze wszystkich stron: z Ameryki, z Francji, od Polaków za granicą. I w Anglii przecież zawsze był, tam był pierwszy korpus. Tam było, tylko myśmy mieli ciągłe kontakty i Polacy, którzy dołączali do nich tak, były kontakty, były kontakty z Polską. Więc tutaj ci jacyś spadochroniarzy wysyłali specjalnie, myśmy byli w ciągłym kontakcie, myśmy wiedzieli, gdzie się obraca Anders, gdzie jest armia. i oczywiście, gdzie się dało, to żeśmy próbowali bronić przede wszystkim, bo wszędzie byliśmy... Niemcy mieli swoje wtyczki, ruski też. Ale Niemcy najwięcej. Tam była ta sławna, jak ona się nazywała, kobieta zresztą, Polka, która ciągle nawoływała andersowców, Polaków, żeby przechodzili do Niemców, za co się bijemy, „Za co się bijecie!”, nawoływała. Już gdzie Polski nie ma, Polskę zdradzili. Wygadywała oczywiście na Anglików, na Amerykanów już wtedy. To myśmy musieli to wszystko zwalczyć. Ludziom objaśniać, tam Włochom, nie Włochom, kto się nadarzył. I okazywać im, że my nie, my dalej ciągniemy. My wierzymy, że zwycięstwo będzie nasze. Do tego stopnia, że Anders, wojna się skończyła i ja byłem zwykłym żołnierzem. Przecież ja nie miałem żadnego... tylko wykształcenie miałem. I Anders co zrobił? Anders zorganizował od razu wszystkie podchorążówki, wszystkie tej armii, każdy miał swoją podchorążówkę i mnie na siłę postali, ja musiałem zrobić podchorążówkę. I skończyłem wojnę jako podchorąży, kapral podchorąży. I taki jestem z demobilizacji. Takie mam papiery.

**Rafał Pękała:** Mam pytanie, kto podjął decyzję i jak wyglądała droga za front do Andersa? W jaki sposób? Jaka grupa podejmowała, czy wujek sam podjął, czy to była grupa, która podjęła decyzję?

**Wacław Żelazek:** Więc ja z tymi chłopakami zebraliśmy się razem, i częściowo albo piechotą przechodziło się przez front, albo się brało takie środki włoskie, [niezrozumiałe, 00:06:34], przecież był transport między miastem - miastem. Myśmy się do nich dołączali czy na gapę, czy na jak się udało i się przechodziło na drugą stronę. A po drugiej stronie, jak mówię, tam nie był front stały, taki ciągły, ale to tam miasto było zajęte jedno, drugie miasto, jakieś łączności między nimi, tam drogi były i przecież tam ci Włosi musieli żyć. Tam myśmy się pomieszali z Włochami i przechodzili na drugą stronę. Tylko myśmy mieli cel, przejść i dołączyć do Andersa.

**Rafał Pękała:** W którym miejscu wujek, dokładnie, w którym miejscu, czy wujek pamięta miejscowość, w której dołączył?

**Wacław Żelazek:** Więc ja chyba dołączyłem, teraz nie pamiętam, jak się nazywa ta miejscowość. Jeszcze niżej jak

Campobasso. Tam była nasza pierwsza zbiórka. I później nas wysłali do Campobasso na przeszkolenie wojskowe. Jeszcze niżej. Ja sobie przypomnę, ale w tej chwili nie pamiętam, jak się nazywa ta miejscowość. I tam była cała nasza już dywizja zorganizowana. Pamiętam, był taki, dowódcą tej dywizji... 7. Dywizja Szkoleniowa się nazywała. I był generał Przewłocki, stary generał, jeszcze z armii rosyjskiej. I on prowadził tę przeszkoleniówkę. Tam organizował i kto tylko trochę tej wojskowości nabrał, to dołączał od razu do korpusu, żeby uzupełnić straty i żeby iść naprzód, bo pamiętajcie, bo Anders wyprowadził najwyżej 40 tysięcy ludzi. A jak się wojna skończyła, koniec we Włoszech było 100 tysięcy w drugim korpusie. 100 tysięcy ludzi. Tych wszystkich ludzi trzeba było dołączyć, przeszkolić i wy badać, czy to prawdziwi Polacy, czy nie. To było moje zadanie w dużej części, bo ja byłem w tym korpusie wywiadowczym, dwójka to się nazywała wojskowa. Tym się najwięcej zajmowałem. Przygotowanie tych wszystkich, jak przechodził front, dawałem konie na przykład. Front przeszedł tylko, trzeba było przygotować lokum dla całego dowództwa. To było moje zadanie, o. A ponieważ znałem języki, znałem włoskie te wszystkie... i ludności, i miejscowości też, więc jak najbardziej się do tego nadawałem.

**Rafał Pękała:** Jak wyglądało szkolenie wojskowe w tymże obozie?

**Wacław Żelazek:** Jak wyglądało? Jak każde przeszkolenie. Pierwsze, karabinki do ręki, te najnowsze karabinki, przegląd, nauczy się dobrze manipulować tym karabinkiem, to były Thompsony sławne, angielskie. Takie karabinki, małe karabinki maszynowe. Taki bębenek miały i strzelało 40 strzałów bezpośrednio. Później wyszła taka nowa broń, taka rura była tylko i przebijała największy pancerz, jaki był. To przebijała, mała, pocisk taki krótki i do tej rury się wkładało, tutaj jeden żołnierz trzyma na ramieniu, a drugi tylko celował i strzelał, i wypuszczał ten nabój. Przebijał, nie było pancerza, którego by nie przebił. Tylko musiały być... nie dalej jak 50 metrów się strzelało. Robiło się okopy w ziemi i jak zbliżały się czołgi, można podjechać do 50 metrów albo jeszcze bliżej i dopiero wtedy się strzelało, ale jak trafił ten tam, czołg był rozbity. Ale to było już pod koniec wojny. Dopiero gdzieś tam koło Bolonii dostaliśmy do ręki tę broń. PIAT-y się nazywały, pamiętam dobrze. Te karabinki dobrze bronić, obsługiwać tak, oczywiście biegi różne i tak dalej, i tak dalej. Jak wszystkie przysposobienia wojskowe. Ale to było szybko, zgrabnie i tak samo podchorążówka później. Na podchorążówkę się co najmniej rok, a ja chyba podchorążówkę miałem siedem miesięcy i wyszedłem już podchorąży. Bo wiecie dobrze, że jak się wojna skończyła, to nikt nie myślał o tym, że my zostaniemy kiedyś rozbrojeni i będziemy musieli włożyć się po świecie. Myśmy walczyli o to, żeby iść do Polski, żeby wrócić do Polski. Tak jak tutaj naśmiewali się, że Anders na białym koniu do Polski wjedzie, tak. Nikt nie wierzył. I Anders sam nie wierzył, dlatego przygotowywał, powiększał ten korpus, nas ćwiczył, bo nam brakowało oficerów przede wszystkim. Kadry wojskowej brakowało. Przecież wiecie, że w Katyniu wystrzelali wszystkich oficerów i całą elitę wojskową przede wszystkim. Więc dlatego Anders, wierząc w to głęboko, jak my wszyscy, że my pójdziemy do Polski, to przygotowywał ten 2. Korpus na dalszą drogę. Później dlatego, jak myśmy wiedzieli, jak się skończyło, nas haniebnie zdradzili i musieliśmy zostawić wszystko, i do tej kochanej Polski nie mogliśmy wrócić, to jak mówię, to ja sam asystowałem i widziałem tych wiarusów, starszych gości, którzy przyszli z Syberii, jak oni tam podpisywali te demobilizacje, widziałem, jak im łzy leciały z oczu, i mówię, tak to nam przyszło. Do Polski wracać nie możemy, bośmy z raz byli na Syberii, to my teraz, tam ruski są, to przecież nie pójdziemy do nich z powrotem. Ojczyzny nie mamy, bo nasze domy, zostały całe Kresy Wschodnie oddane Rosji, więc mówi, to nam przyszły i popłakiwali sobie staruszkowie. To były brzydkie widoki, ale to trzeba przyznać, że Anglicy dali nam możliwość wyjechać gdzie, kto chciał. Do kolonii, dawnych kolonii angielskich,

do tego dużo pojechało do Australii, do Kanady, do Południowej Afryki. Dużo Polaków. Ja wybrałem Argentynę, dlatego że miałem rodzinę włoską i Argentyna, bo tam wiadomo, Włochów jest wszędzie pełno, najwięcej chyba w Argentynie. Przecież Włosi po polskiej migracji chyba to największe migracje na świecie. I tak żeśmy sobie kombinowali. Przede wszystkim ja marzyłem zawsze, jak mój ojciec był rolnikiem, ziemianinem, ja mówię, prerie angielscy, pampa argentyńskie, ja sobie pole kupię i rzeczywiście, jak tylko zajęchałem, to ja kupiłem 14 hektarów ziemi. Pierwsza moja w Argentynie, jak zrobiłem. I pojechałem do Argentyny. Zaraz chyba pierwszy transport. Pamiętam do dziś, Empire Alver się nazywał okręt wojenny, który przewoził wojska z Ameryki do Europy. I ja jechałem z żoną i z córką, jechałem tym okrętem i jako wojskowy jeszcze. Jeszcze żołd pobierałem, u rolników, polski żołd, tak. Ja w mundurze polskim i dopiero skończyło się moje posiedzenie wojskowe, jak wylądowałem w Buenos Aires. I tam się skończyło. Tam dopiero zakładaliśmy, jak żeśmy się zorganizowali, to zakładaliśmy te nasze towarzystwo ekskomatantów i później wszystkie inne organizacje polskie, myśmy się od razu organizowali. Osiedla budowaliśmy polskie. Jest takie, Orzeł Biały się nazywa, osiedle pod Buenos Aires. Budowane tylko dla Polaków i przez Polaków. Całe osiedle. To domki rodzinne, bo tak się używa w Argentynie. Rodzinne domki i tam się osiedlali Polacy.

**Rafał Pękała:** Wujku, mam pytanie. Jakie wujek najbardziej zapamiętane wydarzenie chciałby nam opowiedzieć ze swojego szlaku bojowego? Takie, które najbardziej zapadło w pamięć.

**Wacław Żelazek:** Najbardziej co mi zapadło, to jest spotkanie naszych tych braci moich. Spotkanie na szlaku wojennym w tych Włoszech, że ja spotkałem najpierw jednego brata, a później Mariana i to w tych miejscach w Rzymie. To mi najbardziej pamięcią... Później no co, ja byłem bardzo bliski, bo ja byłem na podchorążówce, byłem razem z synem Andersa. Na ten sam my [niezrozumiałe, 00:15:58], tylko z tym, że ja byłem na podchorążówce piechotnej, a on był na podchorążówce, no jak się nazywają, artylerii. Syn Andersa, bo Anders miał żonę tutaj w Polsce. Nie wiem, czy oni się rozwiedli, czy ona umarła. Nie wiem, jak byłem tam, to widziałem później tę obecną żonę, z którą nie miał już potomstwa, a tamten syn Andersa był pewnie podobny. I jak kończyłem podchorążówkę, to przyjechał generał Anders i te dwie podchorążówki... bo myśmy byli obok siebie, tośmy razem maszerowali. A ponieważ te podchorążówki, jak mówię, to były sąsiednie, w budynkach sąsiednich, to były szkoły włoskie. I w jednym była nasza podchorążówka, w drugim była artylerii. I defilada była wspólna. Tam z Andersem właśnie maszerowałem, synem Andersa, a Anders odbierał defiladę. To też była wspaniała uroczystość, z tym, że ja wtedy już studiowałem. Byłem na podchorążówce tam na dole, w południowych Włoszech. To jeszcze [niezrozumiałe, 00:17:11] sobie podchorążówki, zapomniałem teraz miejscowość. Duża miejscowość, blisko Taranto aż. Jechałem składać egzaminy do Rzymu. Z podchorążówki tym transportem wojskowym dowozili mnie do Rzymu na egzaminy i wracałem na podchorążówkę. Więc miałem tę podchorążówkę bardzo urywaną, ale mam jak najbardziej zaświadczenie, że mam skończoną i to nawet z niezłą lokatą. Jak byłem wtedy po wojnie, jak się skończyła, to ja zdecydowałem do Argentyny i w Argentynie, mówiąc tak po prawdzie, jak zajęchałem, tam był Perón wtedy, który nas bardzo szanował. On wszystkich nie chciał, ale do Polaków jak najbardziej miał, on wiedział, że my jesteśmy pracowici, że jesteśmy katolicy przede wszystkim, że nie będziemy rozrabiać gdzieś tam. Mnie się tam jak najbardziej i spodobało, bo mówię wam, po wojnie, po Europie, jak zajęchałem do Argentyny, to mnie się wydawało, że to jest raj na ziemi. Tam było coś niesamowitego, ta różnica. Tam był taki dobrobyt, że myśmy sobie nie wyobrażali, że coś takiego istnieje, może istnieć. I ja się tam, język, nie miałem żadnej trudności, to mi przyszedł sam, hiszpański. I od razu się pięknie zorganizowałem, bo ku-

piłem czakrę taką, 14 hektarów ziemi. To było pastwisko. Tylko dom był i lasek, gdzie te krowy, dawne pastwisko, te krowy tam miały prawo się schronić i przy tym lasku był młyn ten, który wodę pompował. Ciągnął wodę i zbiornik na wodę, gdzie te krowy się poiły. I był dom murowany, jedyna rzecz. Nic więcej nie było. Puste pole. No i myśmy to pole zagospodarowali pięknie. Sprowadziłem brata z Anglii. Jednego kolegę, Poznaniaka, z korpusu też i tak w trójkę zrobiliśmy z tych 14 hektarów, z tego pastwiska, piękne pole uprawne. Ale tylko, że w Argentynie, tam trzeba mieć tysiące hektarów i mieć dobre zaplecze, żeby tam można egzystować. Tam 14 hektarów, to jest tak jak u nas mieć ogródek. Tam nie da rady. Tym bardziej, że to było 50 kilometrów od Buenos Aires, tam były jeszcze takie stosunki, że nawet jeśli ktoś, coś wyprodukował, to nie miał prawa wziąć, tak jak się dawniej używało w Polsce, czy nie wiem, może i dzisiaj tak jest, że każdy bamber, każdy producent rolny bierze na wóz i jedzie, i sprzedaje. Czy wiezie do sklepu jakiegoś klienta, który ma, żeby on sprzedawał. Tam nie, tam musi wszystko do centralnego wielkiego tego takiego centrum skupu. I oni dopiero tam rozkładają i dają grosze. Więc myśmy się rzucili najpierw na jarzynki. Tam się hoduje sławne, tu w Polsce nieznanne, coś w rodzaju, ma liście takie, jak buraki, tylko nie są czerwone, tylko zielone liście. Nie robią korzenia, nie robią tej cebuli w ziemi, tylko sam korzonek i później duże piękne liście. Tam to jest najbardziej używana jarzyna. Rzuciliśmy się na to. To trzeba było robić te wiązki, jak mówię, odwozić. My te pole mieliśmy trzy kilometry od szosy. I tą szosą codziennie przejeżdżała ciężarówka, która zbierała wszystkie te produkty i woziła na ten rynek centralny. I później przywoziła grosze. To się nie opłacało. Ale próbowaliśmy różne rzeczy. I proszę pomyśleć, co nas właściwie najbardziej zniechęciło. Pamiętam, że cała nasza trójka, napracowaliśmy, kupiliśmy chyba tysiąc flancu kalafiorów. I na tym polu dobrze wypracowanym, a tam było pole, zwłaszcza te przy domu, tam, gdzie były te krowy, gdzie tam się zbierały, było dobrze użyźnione. Więc robiliśmy pięknie przygotowane pole i jak rano dostaliśmy sadzonki, czekamy, aż słońce zaszło, bo w ciągu dnia, gdyby to posadził, to by od razu słońce spaliło. Czekamy, aż słońce zaszło i jak rzuciliśmy się, i te tysiąc sadzonek, już przygotowane radlonki i się sadziło. W pewnych odległościach, tak, żeby ten kalafior się mógł rozrastać. I proszę sobie pomyśleć, napracowaliśmy się, wody trzeba było zalać, [niezrozumiałe, 00:22:45] porobić przy tym i zalać to wszystko wodą. I co się okazało, że rano wstajemy, idziemy patrzeć, ile z tych sadzonek, z tysiąca sadzonek nie zostało nic. Takie tylko kawałki. Mrówki nas zniszczyły. Mrówki to jest taka zaraza w Argentynie, że one potrafią człowieka zniszczyć. Wszystko, tak jak szarańcze, było dawniej, której teraz już nie ma. Teraz są mrówki. Więc nasze kalafiory zniszczone, bo jak przy sadzonce wszystkie te listki pierwsze obgryzie, został tylko patyczek, on nie będzie rósł, z niego nic nie będzie. To jest zniszczone, wszystkie. Nie została jedna, nic. Więc wtedy zabraliśmy najpierw, co zrobić z tymi mrówkami. Próbowaliśmy wszystkie różne trucizny, kupiłem, pamiętam, taką maszynę. Piekielną maszynę, nazywaliśmy ją. To był taki interes, się podpałało ogień, węgiel czy drzewo, się sypało taką trucizną i się pompowało do mrowiska, do środka, ale co, proszę państwa, pompuję do mrowiska, to w promieniu 500 metrów naokoło wszędzie wychodziły, bo to było wszędzie jedno wielkie mrowisko. Nie macie pojęcia, jak to wyglądają te pola, bo te pola nigdy nie były uprawiane. To były tylko pastwiska. A uprawiane nigdy. Ziemia dziewicza zupełnie. A pod spodem te mrówki sobie zrobiły swoje królestwa. No, nie udało się, to wreszcie znaleźliśmy taką truciznę, że na te ich chodniki, bo to takie, one miały do tego głównego mrowiska, tam to schodziły się z różnych stron, to robiły o takiej szerokości chodniczki, bo to szły tam i z powrotem. Tam dzień i noc pracowało. Więc się rzucało na te chodniki tę truciznę, to był brazylijski wynalazek taki, a mrówki zostawiały wszystko, co nosiły tam. Zostawiały i za to, i nosiły do mrowiska. Co się działo w mrowisku, to ja nie wiem. Fakt jest, że po iks czasie mrówki zginęły. Przynajmniej w naszym rejonie. Na naszym polu. Bo one się gromadziły, gdzie te wielkie mrowiska, to były blisko domu, blisko tych lasków, tam, gdzie gromadziło się to bydło,

gdzie miały trochę cienia też. I w ten sposób... później próbowaliśmy zrobić hodowlę kurczaków. To były piękne historie. O, na tym zboże. Zboża, proszę państwa, na tym miałem, chyba 6 hektarów ziemi obsialiśmy pszenicą. Piękna pszenica wyrosła. Teraz na 6 hektarów przynajmniej trzeba jakąś kosiarkę sprowadzić. Kto tam, wszystko mają maszyny olbrzymie, bo tak jak my, tam te tysiące hektarów to na małe gospodarstwo to nawet nie zwracają uwagi. Ale dostaliśmy. No, skosił nam. To robimy po polsku snobki te i stuk. I co teraz z tym robić dalej. Ani wymłócić tego, ani młynów nie ma, ani tym się nikt nie zajmuje, bo tam tylko na wszystko wielkie musi być, a na małe to jest nieznaczące tam. Nikt się tym nie interesuje. Ale wynaleźliśmy w ten sposób, że założyliśmy hodowlę kur. Wylęgarnie kur, ale proszę pomyśleć, że tam nie było prądu. Tam trzeba było oświetlenie i tak dalej, to wszystko na nafcie prowadziliśmy. No i taką wylęgarnię kur, i pamiętam, pierwszych chyba 500 kurczaków na tej maszynie, tej gazowej... nie gazowej, tylko naftowej, wyprodukowaliśmy wszystkie białe kurki. I co, kurczakom trzeba dać jeść, pierwsze te małe, żeśmy kupowali tę karmę, a później, jak już były większe, to mój brat Kazimierz, on jest [niezrozumiałe, 00:27:19] gwizdek, wszystkie kurczaki i na ten stuk, tam na to zboże. I po jakichś dwóch, trzech godzinach do góry się wchodziło, te pierwsze snobki obrobione tej słomy się wyrzucało, one dalej cały dzień siedziały te kurki na tym. I tam się wychowały. Wieczorem mój brat znowu gwizdek, wszystkie kury do kurnika. Znaczą się, pod taką zagrodę, pod dach. I to prowadziliśmy, też nie był interes, bo tak jak mówię, tam trzeba mieć, o, jak na końcu mój sąsiad miał 30 tysięcy niosek, to jest interes dopiero. Swoją transport i to jest interes, ale na 500 kurczaków, tysiąc później tego, to nikt nie zwracał uwagi. Ale to się tam kupowało przynajmniej posiadłość, wiecie, na dziesięć lat się spłacało. Pewnie kilka groszy, niedużo, była ta pierwsza wpłata, a później co miesiąc, a to grosze były. I sprzedałem to, to nie jest interes. Nie ma co, napracowaliśmy się, wypracowaliśmy, wesoło było nie raz, goście przyjeżdżali, oglądali nasze wysiłki i pracę, ale interes to nie był. I znaleźliśmy takich Japończyków, którzy przyjechali. Oczywiście zobaczyli prowadzone gospodarstwo, a tam Japończycy w Argentynie się zajmują przeważnie hodowlą kwiatów. I oni tam prawdopodobnie na tym naszym gospodarstwie założyli taką hodowlę kwiatów. Ale na wielką skalę oczywiście. Bo tam wszystko, mówię, trzeba tylko na wielką skalę. Tam każdy hodowca krów nawet, jak on nie ma 20 tysięcy krów, to on się nie liczy w ogóle. Tam musi wszystko, ogrodnicy... Chińczycy, Japończycy też w ogrodnictwie, no to mieli tysiące hektarów. Najnowsze maszyny, nawodnienie, to wszystko mechaniczne. To wtedy idzie, swój transport. Oni nie musieli czekać, jak przyjeżdża i zabiera ich towar. Oni mieli swoje ciężarówki i jechali na ten jarmark główny, i tam oni sprzedawali, oni cenę sobie wykształcali. A jak nie było dobrej ceny, to mi się kilka razy zdarzyło, przyjechał z powrotem, jechał i do rowu wyrzucił towar, żeby nie oddać za bezcen. Jak mu cena nie odpowiadała, to wołał wyrzucić, ale nie dać się oszukać. I Japończycy kupili, kupili to, cośmy dalej spłaty robili i za to, cośmy zarobili na tej sprzedaży, to ja sobie kupiłem pierwszy domek już w mieście La Plata. To było miasto, nowe miasteczko, przepiękne. Miasto uniwersyteckie. 50 kilometrów od Buenos Aires i stolica prowincji Buenos Aires. Bo w Argentynie jest w ten sposób, że Buenos Aires to jest tylko w rejonie i jest... a naokoło Buenos Aires, to wielkie Buenos Aires, to należy do prowincji Buenos Aires. A prowincja Buenos Aires stolicę miała właśnie w tym mieście La Plata, które wtedy miało 70 lat życia. Przepiękne miasto. Mówię wam, i tam się rzuciłem do handlu. Bo też mam żyłkę handlową i ja tam, ja mówię, studiowałem ekonomię i handel na uniwersytecie włoskim i rzuciłem się do handlu, zacząłem od małych rzeczy. Mówię wam, byście nie wierzyli, z walizką chodziłem. Zawsze hurtowo, nigdy nie sprzedałem takim okrężnie, tylko sprzedawałem do sklepu. Ja kupowałem gdzieś z fabryki towar i rozwoziłem do sklepu. Zacząłem od tych najmniejszych rzeczy i powoli to tak rozkręciłem, że ja sobie stworzyłem tam, w tym mieście La Plata, wielką hurtownię. Już nie ja musiałem chodzić do klientów, tylko wszyscy do mnie przychodzili. Bo chodzić do klientów to wiecie, jak to jest w handlu. A akurat

dzisiaj nie mam pieniędzy, on zamówił towar, ale idzie, zanieś mu ten towar, a on, a nie mam pieniędzy. To co, ja mam ten towar nosić z powrotem. To on tam podpisał to jakiś papierek czy coś, czy zapłaci następnym razem, ale jak przyjdzie do mnie, do hurtowni, to nie. Nie ma pieniędzy, to wtedy nie ma towaru. To on przychodzi już z pieniędzmi, bo on wie, że nie ma tam. Więc miałem taką hurtownię, kupiłem sobie jeden dom, później drugi dom. Dwa domy, tę hurtownię, tylko hurtownia nie była moja, tylko miałem współnika, bo ja sam to już nie mogłem prowadzić, bo to była, wiecie, jaka to była hurtownia. To był narożnik domu, było 10 metrów w jedną stronę i 5 metrów w drugą stronę. A wewnątrz wszystko był wielki magazyn. A sprzedawałem, nie wiem, jak to się nazywa to. Towary krótkie. To było ubrania męskie i żeńskie, od tych najintymniejszych, aż po nie ubrania. Wszystkie te intymne, kobiece rzeczy. A później nici, guziki, wszystko to, co się sprzedaje. Jak się nazywają sklepy tu w Polsce? Towary krótkie, zdaje się. Nie. Merceria tam się nazywało w Argentynie. I to był taki magazyn, że ciężarówkami mi dowozili towar. Bezpośrednio z fabryki do mojej hurtowni, a ja odstawiałem tylko do sklepów. No i proszę państwa, to prowadziłem chyba z pięć lat. I miałem tego współnika, który tam mieszka na miejscu, bo ja nie mieszkalem przy sklepie. Ja dojeżdżałem tylko. Szyld był, który gdzieś tam w domu, w papierach, Rubio się nazywał, Żelazek i Rubio. Taki był szyld. Tylko że on tam mieszka, bo to był... jego brat kupił cały ten dom, a myśmy dzierżawili, nasza spółka dzierżawiła ten magazyn. i zaczęła się w Argentynie ta dewaluacja. Po upadku Peróna, Perón upadł już w 1955 roku, zaczęły się te niesnaski, zaczęły się, ja już miałem dwoje dzieci, już chodziły do szkół, oczywiście szkół katolickich, bo te argentyńskie szkoły to nic niewarte. Tam tylko ten swój nacjonalizm urządzali, ale wykształcenie, mnie chcieli, jak ja tam byłem, obrazki się kupowało, takie książeczki, oni wycinali i to do zeszytu, i w ten sposób uczyli tych dzieciaków. Aż było strach patrzeć. Ale były szkoły katolickie, salezjanie. Moja córka chodziła do takich hiszpańskich siostr zakonnych. Mają dużą piękną szkołę. I zaczęły się niesnaski, właśnie między szkołami katolickimi i szkołami świeckimi. I dewaluacja. Dewaluacja, że ceny się zmieniały, to mówię, niesamowicie. Tam były takie dewaluacje w Argentynie, że wy sobie nie zdajecie... tam nie tylko ucinali zera. W Argentynie był czas, że zmieniali nazwy pieniądza i to trzy razy aż się zdarzyło. Pieniądz się nazywał inaczej. Zamiast pesos, to austral. Później się nazywał pesos lej. Później jeszcze inną nazwę. Trzy razy zmieniali i za każdym razem to pięć zer się ucinało. Niby od zera się zaczynało. I to szło wszystko do tego stopnia, że... Ale nie, to było, jak mówię, w 1955 i do 1960 roku. I wszyscy już te niesnaski, zwłaszcza te historie ze szkołami. Moja rodzina katolicka, moja żona to już specjalnie mnie na siłę wysyłali i demolowali mi samochód. Te manifestacje robili przeciwko szkołom katolickim. Przeciwko religii. Więc zniechęciło nas to, ale najważniejszy powód był to, że do Rzymu przyjechał mój brat zmartwychwstańca, który został wydelegowany przez zmartwychwstańców na kapitułę generalną. Ja z bratem moim nie widziałem się 15 lat. I on jedzie do Rzymu. W Argentynie niesnaski. Więc mówię, jadę z tobą, wracam do Włoch. Nie do Polski, tylko do Włoch. Zdecydowałem, jadę. I tu było moje, nie wiem, czy nieszczęście, czy szczęście, dewaluację, ja straciłem w ciągu jednego dnia połowę majątku. Połowę, bo ja sprzedałem i sklepy, i dom. Wszystko, co miałem, sprzedałem, bo ja mogłem, jakby chciałem wyjechać na stałe z Argentyny do Włoch. Rano, pesos kosztował 40 złotych za dolara. A wieczorem 80 peso za dolara. Więc ja połowę straciłem, bo ja musiałem dolary. Wiecie, tam pesosa to nawet nie chcieli oglądać ludzie na świecie. Ja musiałem te dolary, ja już miałem sprzedane w pesosach, w tych starych pesosach. Tych za 40 dolarów. Tak sobie obliczałem, ile ja zawiozłem do Włoch i jak coś będzie się... to w ciągu jednego dnia połowa od razu poszła, z dymem pożarów. Ale pomimo to, trochę tego nabierałem, bo ten majątek był już poważny. Pojechałem do Włoch i tam się spotkałem... spotkałem się z moim braciszkiem Stanisławem. Było pięknie, bo on mieszkał u zmartwychwstańców

w domu generalnym właśnie tam przy Placu Hiszpańskim, a ja mieszkałem w Arpino, tam blisko Monte Cassino. On przyjeżdżał do mnie często, tam miałem piękną posiadłość, która jeszcze jest, ale teraz po śmierci syna, to tam też upadnie z czasem, tak wydaje mi się. I on do mnie przyjeżdżał, ja do niego. Później on został po tej kapitule, to został w Rzymie na stałe. Zrobili go przełożonym generalnym domu generalnego. I on tam został w Rzymie i do Polski nie chciał wracać. A wracając jeszcze, o wyjeździe z Polski, on miał te same przejścia, komuniści mu tam kazali podpisać kupę papierów. To on mi opowiadał. Męczyli go, żeby mu dać paszport, żeby mu pozwolić na wyjazd. Tym bardziej, że oni dobrze wiedzieli, że tam jest trzech braci, którzy zagranicą już czekają na niego. On był Marian, Kazimierz i ja. Myśmy już byli poza Polską. I oni tam mieli zawiadomienie. Dobrze wiedzieli. Robili mu te same trudności, co tam opisuje, co się dowiaduje, co robili arcybiskupowi temu, no... Tak, no i spotkaliśmy się i później jak brat został w tym domu generalnym przełożonym, to on mówi, ja tam nie mam co robić. A on miał dwa doktoraty. I jeszcze sobie w Rzymie zrobił trzeci doktorat. A dwa doktoraty, a jeden z tych doktoratów robił razem z naszym papieżem, Janem Pawłem II, na Uniwersytecie Lubelskim. Oni koledzy są. Dlatego ja jeździłem z nim na Mentorellę, bo on samochodem jeździ jak kardynał. Ja go dobrze znam. I okazuje się, że mój brat Stanisław mówi, ja w Rzymie tam siedzieć i patrzeć, bo to zawsze tam jest, generał mieszka, cała rada generalna tych zmartwychwstańców. On i każdy się rządzi po swojemu. A on przełożony, oni się powinni, każdy tam, kto mieszka w tym domu generalnym, to powinien się meldować u przełożonego, bo on zawiadował całym towarzystwem. Ale tam oni wszyscy wyżsi rangą, więc oni sobie, mówi, taki ja robotny, to ja księdzem nie zostałem, żeby ja być odźwiernym tutaj. Nie, nie. I właśnie się wybrał na miejscowość, którą zmartwychwstańcy dostali jako pierwszą swoją posiadłość w odległości jakichś 50 kilometrów od Rzymu, na opuszczony stary klasztor. Nic więcej, tylko ten klasztor i kościół. Tam niby cudowna Matka Boska, taka statua Matki Boskiej. Taka odosobniona miejscowość, gdzie tylko ten klasztor duży, bo tam kiedyś byli podobno benedyktyni, mówią, tradycja taka, że zanim Święty Benedykt założył swoje posiadłości na Monte Cassino, w Subiaco, to mówi, zatrzymał się najpierw na Mentorelli, tam w tej miejscowości, co teraz niby mają zmartwychwstańcy. Tam jest tak opuszczone, taka była miejscowość, gdzie turysta przechodził tam raz na miesiąc, jakaś grupa turystów, bo to w górach. I tylko klasztor. A tylko na odpust na świętego Michała to był wielki odpust, to wtedy wszystkie te miejscowości naokoło, wielki odpust i wszystkie tam zgromadzenia, i wielka uroczystość. I on tam, nie tylko ja tam, ponieważ mieszkałem niedaleko, tak w linii, powiedzmy, to było jakieś 25 kilometrów. To ja ciągle do niego dojeżdżałem. Tam mu pomagałem, tam żeśmy odnawiali, bo tam, wiecie, jak tam byłem, wiecie, skąd się wodę brało? Pod całym tym klasztorem to był wielki zbiornik wody. I to nie w cementowany jakiś. Mur. Zwyczajny, ceglany mur. I wszystkie zlewy z dachu to szły do tego zbiornika i to była woda, jaką się piło. Całe życie. Tam były nie raz glisty w tej wodzie. Goniliśmy, pamiętam, ptaszki, żeby po tych dachach nie brudziły, żeby tam nie zanieczyszczały, bo to wszystko z tych dachów szło do tego zbiornika. No i nie było światła na tej Mentorelli, tylko na lampy naftowe. Ale powietrze przepiękne, widoki, mówię wam, niesamowite. I ten brat tam był chyba ze trzy lata. Wtedy to były lata 60. Odbывał się Drugi Sobór Watykański. Druga część soboru. I na ten sobór przyjeżdżali biskupi z Polski. Komuniści ich tam jakoś wypuszczali i przyjeżdżał kardynał, nasz późniejszy Ojciec Święty. I gdzie jeździł? Na Mentorellę. Przed konferencją jedną, drugą, na tym soborze, to on jeździł na Mentorellę, bo tam odosobniony, tam sobie przygotowywał swoje konferencje, swoje przemówienia, a ponieważ z bratem się znali, bo to koledzy ze studiów, to znaczy się, on jest młodszy, Ojciec Święty młodszy od brata, tylko robią, mój brat robił doktorat, a on dopiero studiował jako księżula, nasz Ojciec Święty. Ale koledzy, do tego stopnia, że w czasie mojego tam pobytu... bo wiecie, że jak ja, bo jechałem do Rzymu w 1960 roku. Wróciłem do Włoch na spotkanie z bratem, to ja zostałem osiem lat we Włoszech. I w ciągu tych ośmiu



lat... zwłaszcza pierwszy raz, mówię właśnie, mój brat Stanisław namówił mnie, żeby pojechać do Polski. Ja miałem strach. Raz, że byłem w tym wywiadzie w „dwójce”. Nie wiedziałem, no uprzedzenie, że nie wiadomo, co komuniści mi tu zrobią, jak zajadę. A on mnie tak zapewniał, mówi pojedź, zobaczysz, nic się nie stanie, Polska się zmieniła. Tak mnie przekonał, że moim samochodem, tak, nie wiem, czy pamiętacie, były takie sławne, takie małe autobusiki sześciuosobowe. To był, tak zupełnie jak autobus mały wyglądał. Multipla włoska. I tym samochodzikiem nowiuteńkim, z targą rzymską jedziemy do Polski. Przejeżdżamy, wtedy nie było autostrad. To był raczej 1963 rok. Nie było autostrad. Przejechać przez Włochy to była najciężniejsza droga, żeby z Rzymu dojechać do Tarvisio na granicę austriacką. To było chyba 800 i coś kilometrów. I się jechało cały dzień. Więcej jak dzień. Wtedy zawsze nocowaliśmy w zorganizowanym miejscu naszej pielgrzymki. W połowie drogi właśnie do Tarvisio, w Padwie. W Padwie nocowaliśmy i na drugi dzień dalsza tura do granicy. I przejeżdżamy przez Austrię, bardzo ładny, też nie było żadnej autostrady. Tam, ponieważ są zmartwychwstańcy i koledzy brata, który jechał ze mną oczywiście, tośmy się zatrzymali w Wiedniu na Rennwegu, gdzie były sławne w tych dniach, bo rocznica była bitwy pod tym... Odsiecz Sobieskiego pod Wiedniem. A wiecie, na Kahlenbergu kto są? Zmartwychwstańcy. Tam są polscy zmartwychwstańcy i tam oczywiście pierwsza moja wizyta z bratem, pojechaliśmy tam do góry na Kahlenberg. A kto był na Kahlenbergu, był wtedy rektorem tego całego obiektu, był mój dawny proboszcz z Poznania, z Wildy, zmartwychwstaniec. No i dobrze. Pojechaliśmy tam, odwiedziliśmy, zwiedziłem po drodze wszystkie, bo nie było autostrad, wszystkie te miasta, te austriackie, przepiękne. To się wszystko... Wiedeń cały poznałem, bośmy tam zatrzymali, nocowałem chyba dwa dni, dwie noce przynajmniej. I później wjeżdżamy, bo to Wiedeń i od razu prawie jest granica czeska. Czechosłowacka wtedy jeszcze. I przejeżdżam już na granicę, jak ja zobaczyłem te zasieki, tuż przy granicy... Wtedy było największe nasilenie komunizmu na Czechosłowacji w 60. latach. Mało, przejeżdżam te zasieki niby i jadę, patrzę, droga biała, wapnem wysypana. I gdzieś dopiero jakieś półtora kilometra stoją strażnicy dopiero. Tam zatrzymują, już pierwsza rewizja. Oczywiście ja się przedstawiam jako Włoch. Papiery miałem, ja miałem paszport konsularny, sobie w międzyczasie wyrobiłem, polski paszport konsularny, bo inaczej ja bym do Polski... Bo ja wtedy miałem, wiecie, jaki ja paszport miałem? Miałem paszport, nazywał się „no Archentino”. Jeszcze nie miałem obywatelstwa argentyńskiego, które mogłem w każdej chwili dostać, tylko ja go nie chciałem. Żeby wyjechać z Argentyny, to dostałem paszport zupełnie podobny, jak mają wszyscy Argentyńczycy, ale nazywa się nieargentyński. Pięć lat był ważny. Ale jak chciałem jechać do Polski, to tego paszportu Polacy nie uznawali. Zresztą już trzy lata minęły od tego czasu, jak ten paszport miałem, ale tylko pięć lat był ważny, pięć. Więc namówił mnie brat, mówi - nie, ty pójź do ambasady w Rzymie i weź sobie paszport konsularny, bo on też miał paszport konsularny, żeby wyjechać z Polski. I namówił mnie, namówił, po ciężkich ćwiczeniach poszedłem. Wrażenie pierwsze, tylko wejść do tej ambasady. Jak zobaczyłem piękny gmach w pięknej miejscowości w Rzymie i wchodzę, i widzę, za każdym razem wychodzi ten urzędnik i zamyka na klucz drzwi. Wchodzi do następnego, znowu otwiera i zamyka. Mówię, o, tu te klatki sobie otwierają i zamykają. Jak oni mnie raz zostaną, do tej klatki wpuszczają, to ja więcej nie wyjdę. Ku mojemu zdziwieniu, bardzo pięknie mnie załatwili. Paszport dostałem bardzo szybko, tylko dałem, gdzie się urodziłem, oni posłali to do Polski. Chyba, nie wiem, czy w ciągu tygodnia przyszło z powrotem, w Polsce, tak, się urodziłem i dostałem paszport konsularny polski. I jadę z tym paszportem, jak mówię, jak zajechałem, te Czechy zobaczyłem i ta droga, tamten dojazd do strażników, przeleciałem, mówię, te Czechy to ja objechałem, chyba z dwie i pół godziny jechałem. Jednym pędem, bez zatrzymania, aż do granicy do Cieszyna. Do Cieszyna. Teraz sobie proszę wyobrazić, mój brat jako ksiądz, który wracał do kraju, do Polski. Wiózł tam, mieliśmy naładowaną całą ciężarówkę tych różnych świętości. Tak te wszystkie siostrzyczki,

zakonnice, różne ornaty, jakieś tam kielichy, a różańce, a tych obrazków. Mówię, wszystko było tak załadowane, jak nas tam na granicy polskiej komunii chwycą, jak zaczną nas rewidować, to będziemy mieli niesamowite trudności. Co się okazuje, jedziemy, most na granicy, taki drewniany most, nie wiem, jak się ta rzeka nazywa. Ja przejeżdżam w stronę, wjeżdżam na Polskę i od razu z samochodu wysiadam i całuję polską ziemię. A ci wszyscy celnicy wychodzą na zewnątrz i się oglądają, patrzą się, co się dzieje. I podjeżdżam, jakieś byłem 20-30 metrów i podjeżdżam pod granicę polską. Trochę z obawą tak, a tam patrzę, tacy uprzejmi goście, mówię, co? To po tym wrażeniu czechosłowackim, to mówię wam, to mi się wydawała różnica jak między ziemią a niebem. No, ale mało. W pewnym momencie już zapraszają do środka, niby rewizja, nie naszych bagaży, tylko papierów. Kto, się okazuje, kto tam, wychodzi taka pani oficer, Włoszka. Żona oficera, celnika naszego polskiego, który też tam pracował. Włoszka. Woła męża od razu i tutaj ja po włosku z nią, mówię wam, całą noc bawiliśmy się. Wódkę, ja nosiłem, wwoziłem moje wino, pamiętam. Gdzie tam, po wódkę poszli oni. Przynieśli wódki. Bawili się chyba tam do późnej nocy. A myśmy tam na granicy o 5:00 wieczorem, do późnej nocy. I pogaduszki niesamowite, nic nie przeglądali. Nawet do samochodu nie podchodzili. Mówi, co tylko chcecie, kiedykolwiek, co będzie potrzeba, to proszę bardzo. I mówię, a to takie polskie to... wjechałem zupełnie pod... Później, muszę przyznać, że ja wtedy, mój pierwszy przyjazd po 27 latach. Wracam do tej Polski z takim, że tak... więcej jak dwadzieścia siedem... 36 lat, do 1963, to ile lat jest?

**Rafał Pękała:** 30.

**Wacław Żelazek:** No, jakieś 20 przeszło. Więc wrażenie mi zrobiło takie i później jadę. Jadę, najpierw mam siostrę w Opolu. Pierwszy nasz cel to było dojechać do Opola. Z Cieszyna przez Śląsk tam, no i do Opola. Zajeżdżamy do Opola, tam przemiło nas przywitani. Pamiętam, wtedy moja siostra miała takie małe dzieciaki. Trójka tych dzieciaków. A one zobaczyły ten samochód. To był taki rarytas, taka... No i ubawiliśmy, to wrażenie zrobiło takie, ci ludzie naokoło się schodzili, żeby popatrzeć na Polaków, z zagranicy przyjeżdżając samochodem, z Rzymu. Boże drogi, to było niesamowite. I później jedziemy przez Wrocław do Poznania. Jedziemy, po drodze, pamiętam dobrze, niedaleko, jakiś tak przejazd jest blisko Wrocławia, dwie drogi główne. I ja oglądając tę Polskę piękną, przejechałem drogę, główną, z mojej drogi głównej przejechałem w boczną drogę, gdzie był stop. Nie zwróciłem uwagi i przejechałem. Stoi policja i mnie zatrzymują. A pan co? No panie, mówię, panie, ja po tylu latach wracam do Polski, ja na tym całym oglądaniu, pod bajer go wziąłem po prostu. Mu tak zagadałem, że mówię tak, nie zauważyłem, no przejechałem. On tak się patrzy, się trochę uśmiechnął. Mówi, wie pan co, żeby pana szlag trafił, to ja miałem... źle się wyraził, to mnie nie obchodzi, a żeby księdza mi zawiódł, tego nie pozwolę. No i mnie skarcił za to, że wiozłem księdza i mogłem spowodować wypadek. Myślę, to dobry komuni... I żadnej nie zapłaciłem ani nic nie zapisał. Pojechałem dalej. Pojechałem dalej i pamiętam, za Wrocławiem, Leszno, bodajże taka miejscowość. I przejeżdżałem tę miejscowość, też oglądając i na pewno nie więcej jechałem jak 60 na godzinę. I wyjeżdżam już z tego miasteczka, patrzę stoi taka ciężarówka policyjna i zatrzymują. No i znowu. No, panie, pan... Mówię, panie, ja obcokrajowiec, wracam po tylu latach, nie zauważyłem panie, bo tam był napis, że 40 wolno. Przez tę miejscowość przejeżdżać 40. A pan, mówi, jechał... Mówię, dobrze, ale panowie jesteście tu za miastem, a skąd panowie wiecie, że ja jechałem taką szybkością? A proszę bardzo, proszę ze mną. I mnie prowadzi do tej ciężarówki, pokazuje tam jakiś aparacik. Wtedy była nowość, który pokazywał, pokazywał, akurat jechał samochód, on wjeżdża i pokazuje jaką szybkością jedzie i jaką wyjeżdża. No proszę. Ja znowu ich biorę, no panowie, żebyście, takie mają wynalazki, żebyście to na zachód

wystali, to byście zrobili tam furorę. Bo na zachodzie to żadnych ograniczeń szybkości nie ma, nie było i nie ma. Ich to bardzo pochlebnie znowu wziąłem. Wódki znowu postawili, wypiliśmy sobie tam w tej ciężarówce i już wychodzili, dziękuję, tylko, mówi, proszę pana, jedna rzecz, ten aparacik, mówi, wybija też karę, jaką trzeba zapłacić. A ja mówię, ale jak, że zapłacić? Chyba mi powiedział... grosze dla mnie to były. Chyba 50 złotych. Ale to dla mnie wtedy, wioząc dolary, to na pewno były grosze. Dałem im podwójnie, mówię, żebyś... Tacy zadowoleni i nic nie zapisali, nic, i pojechali dalej. Później chyba jeszcze dwa razy, w tej pierwszej wizycie, co mnie zatrzymali, raz wjechałem tam w taką ulicę, gdzie nie wolno, nie było ruchu, zakazane. Wjechałem i zajechałem. On już kawałek, znowu mnie zatrzymuje. A pan co? No, ja znowu, no nic, proszę zawrócić, ale nigdzie nie zapłaciłem żadnej multy. Ani mnie nie wołali. Jedynie, co mnie tylko, że trzeba było się meldować. Meldować i wymeldować. Za każdym razem. Bo ja później jeździłem co roku. Jak przyjeżdżał ten Czesiu, pojechałem pierwszy raz, to później co roku jeździłem. Mało, zabrałem żonę. A żeby żona też nie miała papieru, nie miała paszportu, a nie chciała iść do komunistów, nie chciała iść do ambasady. Ona tam zażarta, antykomunistka, nie, ja do komunistów nie pójde, nie pójde. A jechać chciała. No dobrze, to ja poszedłem do komunistów i mówię, panowie, ja mam żonę Włoszkę, która chce też poznać ojczyznę swojego męża. A on mówi, nie ma żadnej trudności, tylko mówi, że ona jest poza Rzymem i trudno jej tu przyjechać. A oni się tym nie martwią, po prostu na kartce niech się podpisze, swój podpis i trzy zdjęcia, i wystawimy paszport. Proszę mi wierzyć, że... Na kartce podpis zrobiła, te zdjęcia zawiozłem i na drugi dzień dostałem paszport dla żony.